

dr Magdalena Kowalska

Wielokulturowe Liceum Humanistyczne im. Jacka Kuronia, Warszawa

Temat lekcji:

Postać Vautrina w *Ojcu Goriot* Balzaca: kusiciel, buntownik i kozioł ofiarny

OBJAŚNIENIE PROBLEMATYKI:

Postać Vautrina w *Ojcu Goriot* jest zbudowana z kilku splecionych ze sobą kulturowych stereotypów. Wobec Rastignaca od początku występuje on w roli demonicznego kusiciela: próbuje sprowadzić go na stronę zła i czyni go prawie współwinnym zbrodni. Jednocześnie ma wiele rysów romantycznego bohatera bajronicznego: skłócony ze światem, niepokojący, skrywający mroczną tajemnicę („Często wybuch godny Juwenala budził przypuszczenie, że ten człowiek ma urazę do świata i że na dzień jego życia znajduje się starannie zagrzebana tajemnica.”).

Jest to człowiek o nieokreślonej, niedającej się uchwycić tożsamości. Przestępca ukrywający się pod fałszywym nazwiskiem, nosi perukę, farbuję bokobrody (na rudo!), „mieni się” kupcem, budzi „dwuznaczne” wrażenie, że naprawdę jest kimś innym niż z pozoru. Cała jego egzystencja, od wyglądu zewnętrznego poczynając, jest oszustwem.

„Tajemnica” skrywana przez Vautrina okazuje się dwojakiego rodzaju. Jest on przestępcą i jest homoseksualny. („Zdradzę pani jego tajemnicę: nie lubi kobiet.”). Vautrin jest więc jednocześnie wcieleniem zła, skłóconym ze światem buntownikiem i osobą homoseksualną.

Na tle pozostałych bohaterów powieści Vautrin jest postacią wyjątkową: ten oszust i rzezimieszek ma poczucie honoru, odwagę i zdolność do poświęceń („Zgodził się wziąć na siebie zbrodnię drugiego, fałszerstwo dokonane przez nader urodziwego młodego człowieka, którego bardzo kochał”).

W pewnym sensie Vautrin pełni w powieści rolę kozła ofiarnego. Kiedy zostaje zdekonspirowany i wysłany tam, gdzie jego miejsce (na galery), społeczeństwo czuje się oczyszczone i uwolnione od zła. Mieszkańcy Paryża i domu pani Voquer mogą dalej prowadzić swoje składające się z drobnych występków i nikczemności życie. (Nie należy zapomnieć – choć to już inny temat – o pannie Michonneau, która wydała Vautrina policji, a potem zostaje publicznie napiętnowana i wypędzona z pensjonatu. Ona też jest kozłem ofiarnym.)

PYTANIA POMOCNICZE (dwa proponowane do analizy fragmenty powieści – w przekładzie Tadeusza Boya Żeleńskiego – wklejone są poniżej):

- Z jakich elementów Balzac buduje inność/obcość postaci Vautrina?
- Dlaczego Balzak uczynił go – oprócz wszystkiego – osobą homoseksualną? Czy chodzi tylko o dodatkowe napiętnowanie tej postaci? O jakim stosunku społeczeństwa do homoseksualności by to świadczyło?
- Jakie cechy (dobre lub złe) Vautrina ujawniają się podczas sceny jego aresztowania?

- Paryż przedstawiony jest przez Balzaka jako siedlisko zła, prawie wszyscy jego bohaterowie postępują mniej lub bardziej niemoralnie – czym różni się ich niemoralność od niemoralności Vautrina? Co w tym kontekście może oznaczać jego przestępcza przeszłość i jego homoseksualność?

- Co można powiedzieć o relacjach miłosnych, rodzinnych i małżeńskich w powieści Balzaka? Czy rzeczywiście można uznać je za pozytywny (heteroseksualny) wzorzec w przeciwieństwie do homoseksualności Vautrina?

DODATEK:

Można by jeszcze rozważyć treść napisu na furtce prowadzącej do pensjonatu pani Voquer (pamiętając, że pensjonat od początku przedstawiony jest jako miejsce dla ludzi niższego stanu i podejrzanej konduity, a zarazem mające pretensje do elegancji i przyzwoitości):

„Wchodzi się furtką, nad którą widnieje tabliczka z napisem: «Pani Vauquer», pod spodem zaś: «Pensjonat domowy dla obojga płci i innych»”.

FRAGMENTY DO ANALIZY:

1. Prezentacja Vautrina na początku powieści:

„Na drugim piętrze jedno mieszkanie zajmował staruszek nazwiskiem Poiret, drugie mężczyzna około czterdziestoletni, który nosił czarną perukę, malował bokobrody i mienił się ekskusem; nazywał się Vautrin”.

„Przejście między tymi dwiema osobami a resztą stanowił Vautrin, czterdziestolatek o farbowanych bokobrodach. Był to jeden z tych ludzi, o których się mówi: „Tęgi chwyt!” Miał szerokie ramiona, rozwinięty tors, wybitnie zarysowane mięśnie, grube, kwadratowe ręce porośnięte pęczkami rudej szczeciny. Twarz, porwana przedwczesnymi zmarszczkami, miała wyraz twardy, któremu przeczyło łatwe i serdeczne wzięcie. Niski, basowy głos, w harmonii z grubą wesołością, nie był niemiły. Vautrin był uczynny i jowialny. Jeśli, dajmy na to, niedomagał jakiś zamek w mieszkaniu, zaraz go rozłożył, naprawił, naoliwił, przypiłował, założył z powrotem mówiąc: „Znamy się na tym interesie”. Znał zresztą wszystko, okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Jeśli ktoś nadto się użalał, natychmiast ofiarowywał mu usługi. Pożyczył niejedną raz pieniędzy pani Vauquer i wielu pensjonarzom; ale ci, którym wygodził, raczej by umarli, niżby go mieli zarwać, tyle mimo dobrodusznej miny budziło obawy jego głębokie i stanowcze spojrzenie. Miał zwyczaj plucia na parę kroków, zwiastując niezmaconą zimną krew, która nie cofnęłaby się przed zbrodnią, gdyby zbrodnia miała wybawić go z kłopotliwej sytuacji. Oko jego, jak surowy sędzia, wnikało w głąb każdej kwestii, każdego sumienia, uczucia. Zwykł był wychodzić po śniadaniu, zjawiał się na obiad, znikał na cały wieczór i wracał koło północy przy pomocy klucza, który mu pani Vauquer powierzyła. On jeden cieszył się tym przywilejem. Ale też był on na najlepszej stopie z wdową, którą nazywał mamusią, obejmując ją wpół: pochlebstwo nie dość ocenione! Dobra kobieta uważała to za rzecz jeszcze łatwą, podczas gdy jeden Vautrin miał ramię dość długie, aby objąć tę poważną cyrkumferencję. Szeroki jego gest objawiał się w tym, iż płacił szczerze piętnaście franków na miesiąc za kawę z wódką, którą zwykł był pijać przy deserze. Ludzie mniej powierzchowni niż owa młodzież porwana wirem paryskiego życia lub starcy obojętni na wszystko, co ich bezpośrednio nie tyczy, nie byłiby poprzestali na

dwuznacznym wrażeniu, jakie w nich budził Vautrin. On znał lub odgadywał sprawy tych, co go otaczali, gdy nikt nie mógł przeniknąć jego myśli ani zajęć. Jego pozorna dobroduszość, jego stała uprzejmość i wesołość stanowiły niby zaporę, którą odgrodził się od innych; mimo to często zdarzało mu się odsłonić straszliwą głębię swego charakteru. Często wybuch godny Juwenala, jak gdyby rozkoszujący się tym, aby zohydzać prawa, aby smagać społeczeństwo, dowodzić jego niekonsekwencji, budził przypuszczenie, że ten człowiek ma urazę do świata i że na dnie jego życia znajduje się starannie zagrzebana tajemnica.”

2. Scena aresztowania Vautrina:

– W imieniu prawa i króla – rzekł jeden z oficerów, którego głos zgłuszyły szmery zdumienia. Niebawem zapanowało w jadalni milczenie; pensjonarze rozstąpili się, aby przepuścić trzech ludzi, z których każdy trzymał rękę w bocznej kieszeni na rękojeści nabitego pistoletu. Dwóch żandarmów, którzy wkroczyli za agentami, zajęło drzwi do salonu; dwaj inni ukazali się w drzwiach prowadzących na schody. Kroki kilku żołnierzy i chrzęst broni rozległy się pod oknami na zwirowanej ścieżce biegnącej wzdłuż domu.

Wszelka nadzieja ucieczki zgasła dla Collina, na którego nieodparcie skierowały się spojrzenia. Szef policji podszedł wprost do niego; zaczął od tego, że uderzył go tak silnie, iż stracił perukę i odsłonił głowę Collina w całej okropności. Fizjonomia ta i głowa – pokryta ceglastorudymi, krótkimi włosami, które dawały jej straszliwe znamię siły skojarzonej z chytrą – harmonizujące z torsem, zabłyśły światłem inteligencji, jak gdyby je rozświetliły wszystkie ognie piekła. Każdy zrozumiał całego Vautrina, jego przeszłość, teraźniejszość, przyszłość, jego nieubłagane teorie, dogmat własnego zachcenia, królewskość, jaką mu nadawał cynizm jego myśli, uczynków oraz siła zdolnej do wszystkiego organizacji. Krew wystąpiła mu na twarz, oczy błysły niby u dzikiego kota. Skurczył się w sobie gestem tak dzikiej energii, ryknął tak potężnie, iż wydarł okrzyk grozy z piersi pensjonarzy. Na ten ruch lwa agencji, wsparci ogólnym hałasem, chwycili pistolety. Collin zrozumiał niebezpieczeństwo, widząc błyszczące kurki i w jednej chwili dał dowód najwyższej ludzkiej potęgi. Straszliwe i majestatyczne widowisko! Fizjonomia jego urzeczywistniła fenomen, który można porównać jedynie z kotłem pełnym dymiącej pary, zdolnej podnieść góry, a rozpraszającej się w mgnieniu oka pod kroplą zimnej wody. Kroplą wody, która ostudziła jego wściekłość, było zastanowienie się szybkie jak błyskawica. Uśmiechnął się i spojrzał na perukę.

– Nie jesteś dziś najgrzeczniej usposobiony – rzekł do szefa policji. I podał ręce żandarmom przyzywając ich gestem. – Panowie żandarmi, załóżcie mi kajdanki. Biorę obecnych za świadków, że się nie opieram.

Rozległ się szmer podziwu, wydarty szybkością, z jaką lawa i ogień buchnęły z tego ludzkiego wulkanu i na powrót się weń cofnęły.

– To ci wchodzi w paradę, mości hycłu – dodał galernik, spoglądając na sławnego naczelnika policji.

– Dalej, rozbierać się! – rzekł ów tonem wzgardy.

– Po co? – rzekł Collin. – Są tu damy. Nie zaprzeczam niczemu i poddam się.

Zamilkł na chwilę i spojrzał po zgromadzeniu niby mówca, który gotuje się powiedzieć zdumiewające rzeczy.

– Pisz, papo Lachapelle – rzekł zwracając się do małego siwego staruszka, który usiadł na końcu stołu i wy dobył z teki protokół. – Przyznaję, że jestem Jakub Collin, zwany Ołży-Śmierć, skazany na dwadzieścia lat kajdanów; a dowiodłem właśnie, że nie skradł swego przydomka. Gdybym bodaj podniósł rękę – rzekł do pensjonarzy – ci trzech łapacze byliby rozlali wszystką moją juskę na patriarchalną podłogę mamy Vauquer. Te hultaje umieją zastawiać pułapki!

Pani Vauquer omal nie zemdląła słysząc te słowa.

– Mój Boże – rzekła do Sylwii – to można się rozchorować; i ja wczoraj jeszcze byłam z nim w teatrze!

– Trochę filozofii, mamusi – odparł Collin. – Czyż to nieszczęście, żeś była wczoraj ze mną w łoży w Gaité? – wykrzyknął. – Czyś ty lepsza od nas? Mniej hańby jest na naszym barku, niż wy jej macie w sercu, wy, strupieszale członki zgniłego społeczeństwa: najlepszy z was nie umiał mi się oprzeć.

Oczy Vautrina zatrzymały się na Rastignacu, na którego skierował miły uśmiech, stanowiący osobliwą sprzeczność z twardym wyrazem jego twarzy.

– Nasza umowa stoi zawsze, mój aniele, naturalnie, o ile się godzisz! Pamiętasz?

Zanucił: Franusia moja jest urocza, Prostoty stroi ją wdzięk...

– Nie lękaj się o nic – dodał – umiem się upomnieć o swoje wierzytelności. Nadto się mnie boją, aby ktoś śmiał mnie wykiwać!

Galery ze swymi obyczajami i mową, ze swymi straszliwymi przejściami od żartu do grozy, ze swą przerażającą wielkością, rubaszością i spodleniem stanęły nagle jak żywe w tych słowach, w tym człowieku, który nie był już człowiekiem, ale typem całego tego zwyrodniałego plemienia, ludu dzikiego i logicznego, brutalnego a giętkiego. W jednej chwili Collin stał się piekielnym poematem, w którym wyraziły się wszystkie ludzkie uczucia, z wyjątkiem skruchy. Spojrzenie jego było spojrzeniem upadłego anioła, który wiecznie pragnie wojny. Rastignac spuścił oczy, przyjmując tę zbrodniczą parantelę jako pokutę za swoje złe myśli.”